Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Z polowania na wilki. Chinocze, 1931. Fot. W. Podhorski

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 4 (659) 23 STYCZNIA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć PP. Prenumeratorom, że najwyższy już czas odnowić prenumeratę „Łowca Polskiego" na rok 1932, pierwsze półrocze, pierwszy kwartał lub miesiąc styczeń.

W wypadku nieuregulowania prenumeraty do końca stycznia r. b., będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę naszego tygodnika z dniem 1 lutego r. b.

We własnym interesie zechcą PP. Prenumeratorzy niezwłocznie należność tę uregulować.

ADMINISTRACJA.



Jelenie w Tatrach. Fot. A. Krzeptowski.

WALKA Z KŁUSOWNICTWEM.

Od czasu wielkiej wojny przy nowem ukształtowaniu się łowiectwa polskiego, a mianowicie po wejściu w życie ustawy łowieckiej, ciągnie się, jak nić, poprzez działalność łowiectwa wszystkich dzielnic naszej Ojczyzny, walka z kłusownictwem.

Chcemy tutaj mówić o zachodnich rubieżach naszego państwa, a przedewszystkiem o Wielkopolsce. Zdawało się początkowo, że, po fatalnych stosunkach, które zapanowały w dziedzinie łowiectwa w naszej dzielnicy po wojnie, nastąpi z biegiem lat uformowanie się stosunków takich, jakie były przed wojną. I rzeczywiście przez umiejętną ochronę, która znalazła zrozumienie w najszerszych kołach naszego łowiectwa wielkopolskiego, zaczęły się zwierzostany, choć powoli, podnosić i już dosięgać w niektórych okolicach, świetnego stanu przedwojennego. Niestety, wszystkie te zabiegi były i są po dziś dzień w swoim rodzaju paraliżowane przez rozwielmożnione kłusownictwo. Rozszerzenia się kłusownictwa nie należy przypisywać jedynie demoralizacji i biedzie powojennej, sedno rzeczy bowiem tkwi zupełnie w innej dziedzinie.

Na pierwszy plan wysuwają się niskie kary, stosowane przez władze administracyjne, za przestępstwa wobec ustawy łowieckiej, a w jeszcze większej mierze, przez kary, stosowane przez sądy, które częstokroć, jak mamy tego niezbite dowody, są jeszcze znacznie niższe, niż kary władz administracyjnych.

Wobec tego stanu rzeczy jest zupełnie zrozumiałem, że kłusownicy drwią sobie poprostu z nałożonych na nich kar i z całym cynizmem i wielką swobodą dalej praktykują swój niecny proceder. Nie pomogą tutaj żadne wysiłki, czy to właścicieli łowisk, czy straży łowieckiej, która częstokroć z narażeniem życia łapie kłusownika, lub nawet, (jak to miało miejsce w ostatnich czasach), — całe bandy kłusowników, — z tym rezultatem, że osobnik taki jest karany przez sądy małą karą pieniężną, którą z uśmiechem na ustach płaci i wypowiada już na sali sądowej groźbę tym, którzy go przychwycili.

Wysiłki Wielkopolskiego Związku Myśliwych od samego początku jego istnienia, t. j. od r. 1922, szły pod hasłem walki z kłusownictwem.

Ażeby zachęcić zniechęconą częstokroć z wyżej podanych powodów straż łowiecką, przyznawał rok rocznie Związek nasz tym leśnikom, którzy przychwycili kłusowników, — odznaczenia w formie dyplomów, medali, kordelasów honorowych i nagród pieniężnych.

I tak zostało odznaczonych od r. 1922 do 1931 — 63 leśników, a w tem:

dyplomem honorowym	13	leśników
kordelasem i dyplomem	8	,,
medalem, kordelasem i dyplomem	8	,,
medalem i dyplomem	28	,,
nagrodą pieniężna i dyplomem	2	,,
nagrodą pieniężną, medalem i dypl.	4	,,

W jesieni ub. roku, staraniem naszego prezesa, ppłk. Chłapowskiego, odbyło się zebranie zachodnio-północnych powiatów naszego województwa, mających bardzo duże przestrzenie leśne i specjalnie nawiedzanych przez kłusowników, którzy, tworząc bandy zorganizowane, stawali się plagą całych okolic. Na zebraniu tem obecni właściciele łowisk i hodowcy przychylili się do wniosku p. prezesa, ażeby z własnych prywatnych zasobów zebrać pewną kwotę pieniężną, celem uzyskania funduszu na nagrody pieniężne dla straży leśnej oraz dla funkcjonarjuszy policji państw. Walka ta została uwieńczona pomyślnemi rezultatami, gdyż w przeciągu jednego roku udało się zlikwidować dwie bandy kłusownicze, a mianowicie w leśnictwach Chojno i Drawsko.

Przy tej okazji należy poświęcić kilka słów działalności policji panstw. w walce z kłusownictwem, która dawała i daje w poszczególnych wypadkach dość wydatną pomoc. Jednakowoż ze względu na przeciążenie pol. państw. oraz biorąc pod uwagę małą liczbę posterunków policyjnych, nie można się oglądać w dalszej walce z kłusownictwem li tylko na pomoc policji państwowej.

Wielką pomocą w walce z kłusownictwem byłyby większe uprawnienia zaprzysiężonej straży leśnej (jak to przewiduje nowy projekt noweli ustawy łowieckiej) która miałaby prawo pościgu za kłusownikami, przekraczania granic własnego łowiska, byłaby upoważniona do rewizyj domowych i t. d. Tak samo przewidziany w noweli ustawy łowieckiej fundusz łowiecki, z którego wyznaczanoby odpowiednie nagrody pieniężne dla tych leśników, którzy się odznaczyli w walce z kłusownikami, w wielkiej mierze wpłynąłby dodatnio na zainteresowanie i zapobiegliwość leśników i temsamem na zmniejszenie się kłusownictwa.

Przy dzisiejszym stanie rzeczy dziwić się nie można, że ogół straży leśnej jest zniechęcony i wskutek tego nie tak energicznie czynny, jakby tego wymagały niepewne stosunki, panujące w naszych łowiskach.

Jak widzimy z wyżej cytowanych wywodów, do skutecznej walki z kłusownictwem i do zlikwidowania tej plagi do minimum, przyczynić się mogą tylko dwa momenty:

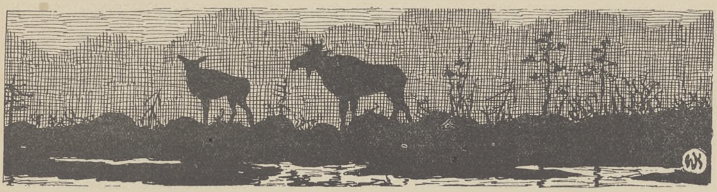
1) wyższe kary, przewidziane przez nową ustawą łowiecką, któreby uniemożliwiły sądom wymierzanie wprost śmiesznie niskich kar;

2) fundusze, z których byliby nagradzani, zapobiegliwi leśnicy a nawet funkcjonarjusze policji państwowej.

Jeżeli te dwa postulaty się nie ziszczą, to dalszą walkę z kłusownictwem uważać można za wprost beznadziejną i temsamem zwierzostany naszej dzielnicy, ongiś znane w całej Europie, nie podniosą się nigdy do tych wyżyn, na których staćby mogły.

Nie tracimy nadziei, że doczekamy się i w tej dziedzinie zrozumienia ze strony sfer rządowych oraz pomocy, jaka przyczyni się do podniesienia naszego ukochanego łowiectwa, które, jak to nieraz podkreślały same czynniki rządowe, tworzy ważną gałęź naszego gospodarstwa krajowego.

WIELKOPOLSKI ZWIĄZEK MYŚLIWYCH.



POCHODZENIE ŻUBRA, ŁOSIA I RENA W POLSCE.

Żubr w Polsce długo był mało znany i dopiero pierwszy, jak się zdaje, jego dokładny opis sporządził Hussovian, który w roku 1523 wydał w Krakokie, u Hieronima Wiktora, dziełko p. t. *„De bisonte et ejus venatione"*, przygotowane dla papieża Leona X, a po jego śmierci przypisane królowej Bonie.

Rozważmy, czy były jakie żubry w innych krajach i co o ich pochodzeniu mówią zagraniczni pisarze? Co w Polsce wiedziano o żubrach?

W komentarzach Juljusza Cezara, w IV księdze wydania londyńskiego z roku 1712, znajdujemy opis dwóch zwierząt, właściwych lasom hercyńskim w Niemczech. Pierwsze noszą łacińską nazwę *Uri*, drugie *Alces;* pierwsze zdaje się są żubrami, drugie łosiami. W tej edycji komentarzy jest nawet ilustracja żubra. Z Tacyta wiemy, że urzędnicy rzymscy żądali od mieszkańców Germanji skór z wołów podług wielkości skór żubrzych.

W księdze II Grzegorza Turoneńskiego znajdujemy wiadomość, że w lasach Ardenów i Wogezów polowano na żubry. Wspomina o tem również i Paweł djakon.

Z powyższych świadectw wynika, że pierwotnie żubry były w Germanji i we Francji, potem, wraz z odmianą klimatu, szły ku północy, aż, zatrzymane na Litwie, tam pozostały. Jak się zdaje, lubiły przebywać tylko w zimnych krajach.

Franciszek de Solio stwierdza, że Montezuma, sławny władca Meksyku, miał wśród swych osobliwości zwierzę, które, sądząc z opisu, jest żubrem *). Ks. Charlevoix w „*Histoire de la nouvelle France*", a Robert Lade w „*Voyage*" informuje, że „*les boeufs musqués*" nie są niczem innem, jak wołami z rodziny żubrów. Z wyrazów, które czytamy u Hermandeza, w „*Historji Meksyku*", można stwierdzić, że żubry były uważane za ród wołów. Takiego samego mniemania jest Gessner w swej „*Historia quadrupedum*".

Na podstawie takich dowodów sławny uczony, Bufon, powiada w swej „*Histoire naturelle*": „*Enfin le bison differe de l'auroch, que par des variétés accidentelles et par conséquent ils sont tous deux de la même espece que le boeuf domestique*". Dowodzi dalej Bufon, że woły u Hotentotów noszą nazwę *Balackley*, które zastępują wielbłądy na wojnie, a strzegą trzody w pokoju. Kolb zaś wywodzi, że zebu indyjskie pochodzi z tego samego rodu, co polskie żubry.

Z rozmaitych pamiątek czternastego i piętnastego wieku widzimy, że żubry były i na Mazowszu, gdzie polowanie na nie warowali sobie panujący.

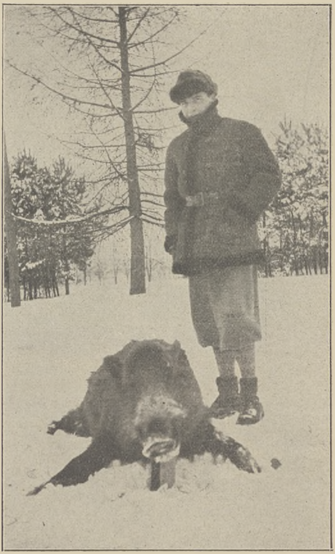
W osobliwym przywileju z roku 1436, wpisanym w metryce koronnej, w księdze aktów książąt mazowieckich, na wieś Zatory, książęta mazowieccy zastrzegają sobie prawo polowań na „*centoures et tigrides*". Te *centaury* nie są niczem innem, tylko żubrami, *urami* przez Cezara, a turami przez lud na Litwie zwanemi. *Tigrides* zaś — to nic innego, jak tylko rysie. O polowaniu na żubry przez Witolda — do naszych czasów jeszcze zachowały się pieśni, o czem obszernie pisze Hussovian.

W tece obrazów sztychowanych, pozostałych po Stanisławie Auguście, znajduje się księga rysunków, należących do aktów konstancyeńskiego soboru. W księdze tej można widzieć ilustrację, jak członkom soboru ofiarowany został jeden żubr z rozkazu Władysława Jagiełły, a z drugiego zdechłego ludzie w ówczesnych strojach kiełbasy siekali na osobliwszą tego rodzaju potrawę. W jednym ruskim rękopisie, pisanym cyrylicą w piętnastym wieku, znajduje się wiadomość, że Zygmunt, wielki książę litewski, którego w 1440 roku zabito, kazał ubrać jednego z dworskiej czeladzi na czerwono i tak ubranego puścić między żubry, które winowajcę stratowały, bo czerwonego koloru zwierzęta te nie znoszą i tak ubranych dozorców nawet zabijają.

Świadkiem siły żubrów była Helena, żona króla Aleksandra, kiedy rozjuszone żubry wywróciły altanę, z której królowa ze swoim fraucymerem patrzyła.

Struthius i Walentyn z Lublina zalecali używać żubrzych skór dla położnic. Potem wyśmiewano ten zwyczaj, zwany zabobonem, lecz później przekonano się, że zapach piżma mógł być w niektórych chorobach pomocnym.

Jan Emanuel Gilibert w swej: „*Indagatores Naturae in Lituania sen opuscula rari argumenti etc.*" z r. 1781 dowodzi, że nasz litewski żubr w puszczy Białowieskiej jest zupełnie oddzielnym gatunkiem w rodzinie wołów; nienawidzi on tak wołów, jak wilk psów; krowy, które przyjmują łosie do karmienia, nie przyjmują żubrów, żubrzyce z bawołami lub buhajami holenderskiemi stanowione być nie mogą; o przeszło ćwierć wzrostu w proporcji wieku są większe od wołów domowych.



Stefan ks. Czetwertyński przy swym dziku.
Fot. R. ks. Czetwertyńska.

Łoś i ren zbyt wiele mają do siebie zbliżenia, aby mówiąc o jednem zwierzęciu, nie mówić o drugiem. Łoś i ren mogą przebywać tylko w zimnych krajach, pierwszy rzadko bywa w Laponji, drugi jest dobroczyńcą tego zlodowaciałego kraju. Łoś, zwany po łacinie i grecku *Alces*, nie był znany Grekom. Arystoteles ani słowem nigdzie o nim nie wspomina. Pierwszy z Rzymu mówi o łosiu Juljusz Cezar, ale zdaje się, że mówi on o renie **). Żyjący potem w lat sto Pausanias również mówi o tem zwierzęciu. Plinius pod nazwami *Alces*, *Machlis i Tarandus* również wspomina o tych dwóch pokrewnych zwierzętach. Kiedy, jak stwierdza cesarz Juljan, Sekwana marzła pod Paryżem; kiedy Francja, będąca pod tym samym stopniem szerokości geograficznej, co Quebec, miała dla nienaruszonych wtenczas lasów i nieosuszonych błot, tęż samą temperaturę, co teraz Kanada, łosie i reny mogły

*) Chyba bizonem (przyp. red.).

**) O łosiu (przyp. red.).

się chować. Wszakże w czasie pierwszych cesarzów rzymskich, we Francji nie można było zbierać dla wielkich chłodów ani wina, ani oliwy, ani żadnych owoców. Węgry były krajem, w którym żadne drzewo owocowe nie rosło. Tracja, opisywana przez Wirgilego w Georgicach podobną była do Grenlandji i okolic zatoki Hudsona. W lasach trackich znajdowały się białe niedźwiedzie, które dzisiaj coraz rzadziej spotkać można nad rzeką Leną i w całej zimnej północy.

W Pirenejach były zwierzęta, które nazywano *Raguier*, będące dosłownie renami.

Wraz z podnoszeniem się temperatury, łosie i reny wędrowały na północ coraz dalej, i tam do dziś się zachowały. Są u nas łosie, są w Szwecji, w Karelji i w Tartarji chińskiej, gdzie noszą nazwę *Ha-ta-han*. W Ameryce północnej ren nosi nazwę Caribon, łoś — *Original*.

W Polsce zarówno łosie, jak reny są znane. Czy u nas reny były, nie jest rzeczą pewną, ale skoro były we Francji, musiały być i u nas, jako w kraju zimniejszym.

Uczony Bufon powiada, że w Laponji rena nazywają *Betsoi*, a posiadamy dowody, że za króla Aleksandra w puszczach na Żmudzi zabijano *Betsy*, a tego imienia nie można zastosować do żadnego innego zwierzęcia, prócz rena.

ADAM CZEKALSKI.



ZE WSPOMNIEŃ MYŚLIWEGO-EMIGRANTA.

WILKI, KTÓRE PO ZABICIU USZŁY.

Aczkolwiek nie widziałem poniżej przytoczonych przykładów żywotności wilka, lecz słyszałem o nich od uczestników polowań, na których miały miejsce,— jednak opowiadania te nie podlegają wątpliwości.

Pierwszy wypadek nie nadzwyczajnie rzadki.

Na pewnem polowaniu zajmowali sąsiednie stanowiska A. W. Jokit i F. N. Szczerbaczow. Między nimi, łeb w łeb, przeszły za linję myśliwych dwa wilki, do których ani jeden, ani drugi, dla jakichś niewiadomych przyczyn nie mogli strzelać w miocie.

Odwróciwszy się w tył, obaj myśliwi strzelili prawie jednocześnie, każdy do tej sztuki, która była z jego strony.

Obydwa wilki padły i leżały bez ruchu.

Myśliwi spokojnie zaczęli zmieniać naboje. W tym czasie obydwa wilki wstały i uciekły tak, że ani jeden z myśliwych nie zdążył powtórnie strzelić.

Po ukończeniu polowania obydwa trupy wilków znaleziono o 150 kroków od miejsca, gdzie padły po raz pierwszy.

Z racji takich i analogicznych wypadków, gdy padająca po strzale zwierzyna, nie odrazu, a po niejakimś czasie podnosiła się i uchodziła, należy zaznaczyć, że doświadczeni myśliwi wskazują na jedyną pewną oznakę, że zwierzyna, wszystko jedno wilk czy lis, nie tylko otrzymała śmiertelną ranę, ale się też i nie podniesie: bywa to wtedy, gdy strzelana sztuka, leżąc, kręci ogonem. W takim wypadku, bez względu na ruchy ciała zwierzę nie wstanie.

Podczas agonijnych usiłowań wstania, zwierzę wykonywa również ruchy ogonem, lecz nadaremnie.

Oto — drugi przykład, niepodlegający wątpliwości i nadzwyczaj rzadki.

W kręgu padło zabitych 6 wilków. Wszystkie, jak zwykle, zostały zwalone do jednych sanek, które również jak zwykle sunęły z tyłu za szeregiem sań, wiozących pskowiczów i myśliwych, powracających do domu. Miało się ku wieczorowi. Przejechaliśmy może wiorstę, — może dwie. Pskowicze, jadący za myśliwymi, ale przed saniami, na których leżały zabite wilki, siedząc jak zwykle tyłem do wiatru i koni, zauważyli w nadciągającym zmierzchu, w odległości 200 — 300 kroków siedzącego na drodze wilka. Zatrzymali się natomiast i otoczyli go fladrami, przyczem zauważyli, że wilk ten był silnie raniony.

Nie pamiętam, czy zabił go ktoś z grona myśliwych, czy też który z pskowiczów, ale kiedy go przyciągnęli do sanek z zabitemi już wilkami i kładli na wierzch, okazało się, że zostało na sankach tylko 5 sztuk. A zatem, ów wilk, według wszelkich oznak martwy, zdążył o tyle ocucić się i nabrać siły, że wygrzebał się z gromady innych, zsunął się na drogę i nawet miał możność chodzić, wprawdzie z trudnością.

Ma się rozumieć, że wiozącemu zabite wilki furmanowi, nie mógł do głowy przyjść podobny wypadek i spokojnie jadąc za innemi saniami, miał uwagę zwróconą jedynie na to, aby nie pozostawać w tyle.

Wskutek tego nie zauważył, co się za jego plecami działo.

SPORNE WILKI.

W opisanych przezemnie wpadkach, wilki ranione śmiertelnie lub ciężko, chociaż uchodziły bliżej lub dalej, jednak pozostały w rękach strzelców, którzy im zadali pierwszą ranę. Ale nie wszystkie takie wypadki kończą się szczęśliwie dla strzelających i daleko częściej uchodzącą sztukę dobija ktoś inny.

Dobrze, gdy śmiertelnie lub ciężko raniona sztuka wejdzie zpowrotem do kręgu i później padnie, albo z kręgu wyjdzie, ale tak osłabiona, że nie jest w możności szybko się poruszać.

W pierwszym wypadku pskowicze podniosą taką sztukę i dostarczą temu, kto ją ranił, — w drugim wezmą od tegoż myśliwego strzelbę, aby dobić zwierza. To samo ma miejsce, gdy zwierz poszedł za linję myśliwych, lub poza krąg i nikt więcej do niego nie strzelał.

Ale b. często się zdarza, że raniona sztuka wychodzi na inne stanowisko, albo też, wyszedłszy za linję myśliwych, gdzie już każdemu wolno strzelić, podsunie się pod strzał tej lub innej strzelby, która ją położy na miejscu.

Gdy zwierzyna została lekko raniona przez pierwszego myśliwego, — oczywiście nie mogą mieć miejsca żadne spory. Ale któż może wiedzieć, jak mocno została zwierzyna raniona, gdy jak to wyżej opisałem, ranione zwierzę jest w możności pójść daleko bez widocznych oznak silnego postrzału. Powiem więcej. Śmiertelny strzał może pochodzić od pierwszego myśliwego, a zwierz pójdzie pomimo strzałów następnych myśliwych, którzy mogli ranić b. lekko lub wcale nie trafić: następnie padnie gdzieś, a przywleczony przez pskowiczów, będzie należał do tego, kto strzelał ostatni.

Gdybym np. wystrzelił tylko do wilka K. M. Doncowa w opisywanym poprzednio wypadku (Quasi-dublet) to wilk należałby do mnie bez względu na to czy trafiłbym czy też chybił i nie zwracając uwagi na to, iż rzeczywiście zabił go K. M. Doncow.

A przecież ja tylko wypadkowo nie strzelałem do tego wilka, do czego się zresztą otwarcie przyznawałem.

A bywa jeszcze gorzej, gdy zwierzyna jest trafiona najwidoczniej śmiertelnie i uchodzi od myśliwego ledwo, ledwo, potyka się, pada nawet, a następny myśliwy dobije ją stojącą jeszcze (na nogach), a wiedząc w jakim stanie zwierza dobił, najspokojniej go sobie zabiera.

Prawdziwi życiowi dżentelmeni na polowaniu nie pamięają o swojem dżentelmeństwie i wyjątkowo się tylko zdarza, że dobrowolnie ustępują zabitą w podobnych okolicznościach sztukę. Prawidła zaś, prawo — mają po swojej stronie. I czegóż tu wymagać? Dura lex, sed lex.

Początkowo oburzały mnie takie wypadki, ale po długoletniem doświadczeniu przyszedłem do wniosku, że tylko przy takich, ściśle określonych zasadach można uniknąć nieporozumienia i długotrwałych sporów. Z drugiej strony, bywały i takie wypadki gdy pozornie silnie, śmiertelnie raniony zwierz, nie mogący iść, następnie dźwigał się, uchodził gdzieś daleko i być może żył nadal.

A jednak niektórzy myśliwi - dżentelmeni dobijają ledwie poruszającą się sztukę, a później z własnej chęci oddają temu, kto pierwszy ranił, nawet wtedy gdy silnie raniony zwierz znów został otoczony i wychodzi na nich, a nie na tego, kto strzelał wpierw. Ale powtarzam, że takie wypadki — to wyjątki i załatwia się je po domowemu, za wspólnem porozumieniem i pomijając prawidła.

Te prawidła posiadają jeszcze jedno bardzo pożyteczne znaczenie: przyzwyczajają myśliwego do porządku, do pewnego strzelania zwierza w „futrze", do starannego pielęgnowania broni i nabojów. Strzelaj do zwierzyny możliwie napewno.

Ale i przy bardzo umiejętnem i starannem strzelaniu, jak wskazałem wyżej na przykłady, mają miejsce różne wypadki. Tu już się niczem nie pomoże i jeśli się nie uda zdobyć śmiertelnie, albo też b. ciężko ranionej sztuki, to pozostaje bądź machnąć ręką, albo też płakać w głębi serca, co kto woli.

A wypadki bywają nadzwyczajne.

Znany w Moskwie myśliwy, członek naszego T-wa, N .W. Szczesławski opowiadał mi o następującym wypadku:

Podczas jednego z polowań na wilki, po kilku strzałach na innych stanowiskach, wyszedł na niego stary wilk i przystanął na czystem, w odległości 30 kroków.

Myśliwy wziął go na muszkę, ale mimowolnie chciał się napatrzeć parę chwil i opóźnił strzał. Wtem wilk, jak podcięty, zwalił się i pozostał na miejscu. że na sąsiedniem stanowisku A. W. Stolarow strzelał w dublecie do dwóch wilków (ze strzelby cal. 24). Je-Obok wystrzału nie było. Po polowaniu okazało się, den pozostał na miejscu, a drugi poszedł. To właśnie był ten sam, który zatrzymał się przed N. W. Szczesławskim i następnie padł martwy. Drugi sąsiad Szczesławskiego również obserwował ten wypadek.

Nie mogę nie wspomnieć tutaj o drugim wypadku, który miał miejsce przy polowaniu nie na wilki, a na— łosie.

Podczas pewnego polowania na łosie, znany, a obecnie już nieżyjący, moskiewski myśliwy N. N. Znamieński, doskonały strzelec chybił, a łoś, trafiony już przed-i zbroczonego farbą łosia, do którego przed chwilą strzelano na sąsiedniem stanowisku.

N. N., doskonały strzelec kulowy, złożył się, strzelił i łoś w ogniu padł martwy.

Ma się rozumieć on wziął tego łosia i nikomu nie przyszło do głowy protestować. Jakież jednak było zdziwienie pierwszego strzelca, kiedy nazajutrz otrzymał od N. N. owego łosia wraz z listem wyjaśniającym, że łoś należy do niego: po obieleniu okazało się, że łoś był raniony tylko jedną kulą. N. N. Znamieński, doskonały strzelec chybił, a łoś trafiony już przedtem śmiertelnie, tylko wypadkowo padł po jego strzale.

Wypadek ten był znany w szerokich kołach myśliwskich Moskwy. Charakteryzował on też i kulturę zmarłego.

A swoją drogą przy należytem strzelaniu do wilków, rysi i lisów zwierzyna w większości wypadków pada trupem po pierwszym strzale, albo też zwalona pierwszym zostaje dobita drugim lub trzecim strzałem.

Osobiście miałem 3 — 4 wypadki ucieczki ciężko

lub śmiertelnie ranionych wilków oraz jednego lisa, — poza granicę mego stanowiska.

O dwóch z nich już opowiedziałem. Pskowicze wkrótce znajdowali je jako martwe lub też żywe i dobijali. Dwa czy też trzy wilki, ciężko ranione wieczorem, nie zostały znalezione skutkiem spadnięcia nocą obfitego śniegu.

Jednego z tych strażnicy znaleźli na wiosnę w pobliżu miejsca, gdzie strzelałem. Dwukrotnie silnie ranione przezemnie wilki były ponownie otoczone, wyszły na mnie i sam je dobiłem. Ale jeden zaledwie był taki wypadek, że ranionego przezemnie wilka dobił kto inny.

Było to tak:

W sześciu byliśmy na polowaniu w gubernji Kałuskiej, koło stacji Dumiczycze na kolei Moskwa — Kijów — Woroneż: w tej liczbie trzech dyrektorów T-wa: N. N. Raszewski, F. N. Szczerbaczow i ja. Prowadził polowanie F. N. Szczerbaczow.

Był siarczysty mróz, nie mniejszy od 20 stopni Reamura.

Podczas silnych mrozów zwierzyna nie zalega długo na jednem miejscu, lecz chodzi, i z tego względu nie łatwo ją otoczyć.

Kilkakrotnie pskowicze otaczali gniazdo, składające się z 6 sztuk, lecz wilki wychodziły z „kręgu" przed pędzeniem, a w końcu rozbiły się, podzieliły i poszły, gdzie który mógł.

Otoczyli w końcu pojedyńczą waderę i urzadzili miot.

Staliśmy wzdłuż dwóch dróg, przecinających się pod prostym kątem: na pierwszej drodze trzy stanowiska, na rogu czwarte (francuz du F-l), a ja na piątem, w lewo od niego.

Dzięki kątowi, który tworzyły dwie drogi, widziałem dokładnie górną część tułowia F. N. Szczerbaczowa, zajmującego trzecie stanowisko wśród niewysokich krzaków, — w odległości 110 — 120 kroków w prostej linji. Przed nami — wysoki, nie zanadto gęsty, sosnowy bór, — za mną taki sam las z oddzielnemi polankami i gęstemi ostrówkami świerczyny.

Zdaleka ujrzałem idącego na mnie wilka, ale zauważyłem, że gdy podpuszczę go na strzał, to wypadnie on nawprost pomiędzy mną i F. N., którego mogę zaczepić loftkami. Dlatego strzeliłem na 40 kroków. Wilk utknął w ziemię, ale się podniósł i rzucił wprost ku mnie, cokolwiek odsunąwszy się od Szczerbaczowa.

Drugi raz strzeliłem do niego na 20 kroków.

Loftki częściowo uderzyły w sosnę stojącą między nami, częściowo zaś w wilka: ten znów upadł, ale się podniósł i utykając wyszedł wprost na mnie na drogę. Na drodze jeszcze raz upadł, ale się dźwignął i ledwo idąc przeszedł koło mnie za linję myśliwych.

W tym czasie starannie usiłowałem włożyć do luf świeże naboje: ręce tak mi skostniały, że straciłem na tę manipulację sporo czasu, aż nadto zaś dosyć aby wilk zdążył przejść za linję. W końcu dałem sobie radę i zwróciłem się w tył. Widzę, jak mój wilk to pada, to się znów podnosi i wlecze na ukos do czwartego stanowiska.

Przyłożyłem strzelbę i wycelowałem, ale w tej chwili z czwartego stanowiska padł strzał. Wilk upadł, ale wzniósł łeb, usiłując wstać.

Strzeliłem do leżącego i wilk przestał się poruszać.

„Zejść ze stanowisk".

Du F-l podchodzi pierwszy do mnie, a nie do wilka, winszuje i przeprasza, że „dla pewności" dobił mego wilka. Dziękuję mu, gdy podchodzi F. N. Szczerbaczow i zwracając się do du F-l pyta: „przepraszam, czy pan go strzelał gdy jeszcze stał"? „Tak".

„A ty, ostatnim strzałem..."?

„Ja — do leżącego".

„A zatem panie du F-l, wilk pański".

Francuz się żachnął i coś zabełkotał. A ja jeszcze bardziej, ale jestem dyrektorem T-wa i protestować przeciwko orzeczeniu dyżyrującego kolegi nie mogę. W dodatku był to pierwszy stary wilk du F-lla o czem sam powiedział, a chęć otrzymania przez niego tego wilka była widoczna, więc z uśmiechem na ustach i łzą w sercu powinszowałem mu „szczęścia".

N. N. Raszewski pokiwał tylko głową i rzekł: „Hm, tak. Teoś człek sprawiedliwy".



Budka dla kuropatw po zamieci.

Fot. St. Steliński.

Mniej więcej to samo uczynił i A. N. Milukow, gdy mu później, prywatnie opowiedziałem to zdarzenie i dodał: „Du F-l to dobry człowiek i w dodatku mało w swem życiu zabił wilków. Takiemu nie żal ustąpić".

Los mi się jednak uśmiechnął i na drugi dzień zabiłem rzadkiej piękności rysia. Na miejscu, w lesie byliśmy sfotografowani: Du F-l — z wilkiem i ja z rysiem.

Mnie osobiście nigdy nie przypadło jakoś w udziale dobijać zwierzyny, ranionej przez innych. Dwa razy posądzono mnie o to, że strzelałem na cudze stanowisko, ale w obydwu wypadkach, po sprawdzeniu, posądzenia okazały się błędnemi. Odwrotnie. Pewnego razu sam pozwoliłem sąsiadowi na zabicie lisa, znajdującego się na mojem stanowisku, omyłkowo będąc pewnym, że ów lis znajdował się od niego bliżej.

Innym razem opuściłem okazję zrobienia dubleta do wilków: zabiłem tego, który szedł z lewej strony, a do prawego nie strzelałem, sądząc, że przechodzi przez sąsiednie stanowisko, następnie okazało się, że szedł przez moje i w dodatku sąsiad go wcale nie widział. Wtedy jednak prowadziłem polowanie i musiałem ostro przestrzegać, aby być w zgodzie z przepisami o polowaniu.

Przełożył JERZY DYLEWSKI.



JESZCZE JEDNO WSPOMNIENIE MYŚLIWSKIE Z CZASÓW WOJNY ŚWIATOWEJ.

Bardzo smutne, a jeśliby chodziło o ówczesny stan psychiczny mojej duszy, tragiczne miałem święta Bożego Narodzenia w r. 1914.

Gdy późną jesienią onego roku wdarły się wojska rosyjskie przez Karpaty koło Homonny daleko w krainę węgierską i maszerowały już na Budapeszt, musiały wszystkie austrjackie kadrowe formacje, rozmieszczone w wielu garnizonach północnych Węgier, uciekać znowu dalej na zachód...

Przydzielony służbowo do kadry 19-go pułku piechoty i jeszcze jako rekonwalescent, siedziałem sobie spokojnie w małej wiosce słowackiej, Małuszynie, u stóp Tatr, ale z południowej ich strony.

Sama miejscowość, położona malowniczo niedaleko słynnego kąpieliska węgierskiego, Popradu, czarowała swoim krajobrazem. Od północy wznosił swój dumny szczyt majestatyczny, ośnieżony Garłuch i połyskiwał w promieniach zimowego słońca jak olbrzymia pochodnia. Inne szczyty szeregowały się kornie obok niego. Było więc na co patrzeć i co podziwiać... Lubiłem spoglądać w jego stronę...

Czynność moja wojskowa polegała na codziennem trenowaniu moich ludzi po zboczach górskich i w braniu małych przeszkód, takich np., jak poprzeczne, o stromych ścianach wąwozy i głębsze parowy. Zarządzałem niekiedy musztrę i ostre strzelanie z karabinów. Ćwiczenia trwały zwykle do godziny 11-ej rano, a później już byliśmy wszyscy wolni.

Poznałem także niebawem miejscowego proboszcza słowackiego, ks. Nowaka, a że był wielce uprzejmy i dla mnie wylany, więc zaprzyjaźniliśmy się wkrótce i wiele godzin wieczornych razem na wspólnej pogawędce przepędzili. On mówił po słowacku, ja po polsku i rozumieliśmy się doskonale.

* * *

Nagle, około 17 grudnia przyszła do mnie z dowództwa pułku, mieszczącego się w dużej wsi Królewskiej Lehocie, blisko miasta Lipto Szent Miklos, depesza z poleceniem natychmiastowego wymarszu z Małuszyny na dworzec kolejowy w Lehocie.

Rozkaz wykonałem bezzwłocznie. Interesujące rozmowy nasze z ks. Nowakiem o Spiszu i o dawniejszej jego władczyni, Polsce, trzeba było przerwać. Pożegnaliśmy się z obopólnym żalem serdecznym.

Po zawagonowaniu ludzi i zwierząt do pociągu wojskowego ruszyliśmy następnego ranka linją kolejową wzdłuż rzeki Wagu, na połudn.-zachód do Preszburga (dzisiejszej Bratislawy) i jechaliśmy przez Wiedeń i cudny Semmering aż do południowej Styrji.

Na kilka dni przed świętami mieszkałem już w tym pięknym kraju, w miasteczku Krieglach, położonem uroczo nad rzeką Morycą (Mürz) przy linji kolejowej Wiedeń — Triest wśród Alp Północno-Styryjskich.

Właśnie w Krieglach, pośród zupełnie obcych dla mnie ludzi, rzucony tam, jak liść oderwany z drzewa podmuchem wojennej wichury, spędziłem kilka ciężkich tygodni. Tam to obchodziłem swoje najsmutniejsze w życiu święta, tem posępniejsze, że rozłączony od pół roku prawie z najbliższą rodziną, nie wiedziałem nawet o tem, co się z nią działo...

W poszukiwaniu za nią jeździłem wprawdzie kilkakrotnie do Wiednia, do znajomych, o których pobycie w naddunajskiej stolicy dowiedziałem się z dzienników, ale i oni nie mogli mi dać jakichś pewniejszych, uspokajających wiadomości. To też bezgraniczny smutek targał dalej serce i sprowadzał na całe moje jestestwo jakąś dziwną, graniczącą z obłędem, depresję. Aby nie ulec do reszty ogarniającej mię rozpaczy i rozerwać się nieco, urządzałem sobie w chwilach wolnych od zajęć bliższe i dalsze wycieczki w okolice miasteczka. Tonęło całe w lasach. Świeżo spadły, głęboki śnieg, lśnił się i bielił wszędzie: w dolinie i w górach...

Zacząłem na nim studjować tropy zwierząt, aby się zaznajomić z miejscową fauną. Poznawałem na śniegu tropy zajęcy, sarn i lisów. Widziałem także często, zwłaszcza pod wieczór, wychodzące z pobliskiego lasu bażanty i jarząbki, w ogrodach zaś pod domami kuropatwy... Nawet krogulec, podkradający się do żerujących na podwórzach wróbli, nie uszedł mojej uwagi. Wszystkie te spostrzeżenia bawiły mię ogro-

mnie i pozwalały na jedną chwilę zapomnieć o codziennej udręce.

W niezamarzniętej Morycy i w jej dopływie, przepływającym przez miasto, obserwowałem liczne małe i duże pstrągi, wygrzewające się tuż pod powierzchnią wody do zimowego słońca... Rzecz ciekawa, że ryby te nie zasypiały... Wieczorami i nocą zlatywały się znowu, Bóg wie skąd, stada krzyżówek i siadały na rzeczce, w środku niemal osady, kwacząc i wrzeszcząc na cały dziób...

Moje wycieczki i studja nad przyrodą cichego górskiego osiedla zwróciły wnet uwagę tamtejszych myśliwych. Poczęli mię o powód wypytywać, a dowiedziawszy się, że jestem także myśliwym i, że jest mi u nich smutno... postanowili urządzić dla mnie kilka polowań. A że nie miałem własnej strzelby, bo ją zostawiłem w domu daleko, więc mi jedną na cały czas mego u nich pobytu pożyczyli i naboje nawet przynieśli.

Przypominam sobie, jak dziś, tylko dwa większe polowania: jedno z naganką na pobliskich, zalesionych zboczach górskich na zające, bażanty i jarząbki i drugie, dalsze, w wyższych już górach, z psami na rogacze. O kilku mniejszych nie wspomnę.

Na pierwszem udało mi się zabić 7 zajęcy, 3 bażanty, jarząbka i krogulca. Polowanie było przyjemne, tem bardziej, że sympatyczni gospodarze starali się wszelkiemi sposobami rozerwać mię i możliwie wesoło nastroić. Jakby czytali w mojej duszy... A że łowy nie były męczące, więc tem więcej przypadły mi do smaku.

* * *

Wreszcie zainteresował się mną i sam burmistrz miasteczka i wielki myśliwy w jednej osobie, p. dr. Habersack. A że miał w wysokich Alpach swoje wzorowo prowadzone łowisko z mnóstwem zwierza rochmannego i że sam był zapalonym łowcem, więc przyszło z nami rychło do całkowitego porozumienia. Propozycję jego na zapolowanie na sarny, ale bez naganki, a z psami tylko, przyjąłem bez namysłu...

Swoje psy gończe czarne podżare lub bronzowe, podobne do niemieckich legawców, tylko od nich niższe, a dłuższe, nazywają Styryjczycy „brackierami". Są one karne i mądre, za zwierzem idą głosem.

Puszcza się je w las na trop, albo na ślepo, a one zwierzynę wynajdują i zawsze na stanowisko myśliwego napędzają. Muszą jednak wiedzieć w każdym wypadku o tem, w którem miejscu i na którem skrzyżowaniu drożyn leśnych on stoi. Dlatego myśliwy obiera najpierw miejsce zasadzki w ich towarzystwie, pozwalając im obwąchać np. swój stołek, na którym usiądzie, a potem jego strzelec lub pomocnik odprowadza je czasem bardzo daleko, bo na dwa i trzy km. i puszcza w las, zwykle pod wiatr, a sam towarzyszy im później w pewnej odległości i posuwa się za niemi w kierunku gonu...

* * *

Pewnego styczniowego poranka zajechały przed moje mieszkanie wygodne sanie, zaprzężone w parę dorodnych koni. Siedział w nich p. Habersack ze swoim strzelcem, a w sianie u nóg furmana leżały trzy psy „Brackhundy". Wdziałem na siebie kożuch wojskowy, wziąłem strzelbę, kilka patronów i usiadłem na saniach. Jechaliśmy lasem po wąskiej, niewygodnej, pełnej kamieni i wystających korzeni, drożynie leśnej, ciągle pod górę, ze dwie godziny, albo i dłużej. Wreszcie na małej polanie konie stanęły. Gospodarz wysiadł pierwszy i kazał mi iść za sobą...

Psy prowadził za nami na smyczy służący...

Za najbliższym pagórkiem, już zalesionym, było pierwsze stanowisko... Mój łaskawy przewodnik zaprowadził mnie na nie, wskazując je ręką, zwrócił przytem uwagę na głęboki parów, zarośnięty rzadką drągowiną z szumiącym na dnie potokiem i na kilka ścieżyn leśnych, zbiegających się właśnie na mojem stoisku... Za plecami miałem także niedużą polankę, a za nią dalej gęsty, zwarty las szpilkowy. Zauważyłem, że czatownia moja znajdowała się jakby na grzbiecie jakiegoś głębokiego parowu, a ścieżki, ścielące się przede mną, zapewne od wieków przez zwierzynę wydeptane, schodziły wprost do niego, niknąc za załomem skalnym w odległości jakich 40 m. Wykalkulowałem sobie wówczas, że każdy zwierz, skoroby się tylko na ścieżce pokazał, musiałby mnie natychmiast zauważyć i w jednej chwili odbić i skryć się za skałą, i że strzał w takich warunkach byłby dość trudny i tylko rzutowy...

Mój gospodarz oddał mi swoje krzesło, polecił cicho siedzieć, nie palić i czekać na zwierza, który niezawodnie się pojawi... Sam odszedł jeszcze wyżej, dodając na odchodnem, że zajmie inne stanowisko, w odległości około 300 m. ode mnie.

Zanim doszedłem do wskazanego miejsca, już polecił swemu strzelcowi, aby psy zaprowadził o jakie 2 kilometry niżej, na sam spód stoku i podłożył je natychmiast.

Wiatr dość żwawy nie był dobry, bo wiał od nas wdół, ku miejscu, z którego psy miały ruszyć, ale dla nich był idealny.

Ukryty dobrze za drzewem, zamieniłem się cały w słuch i siedziałem cicho, jak pniak. Chwile płynęły powoli, jak wieczność... Pomimo wszystkich obiecujących okoliczności zdawało się przecież, że jest rzeczą wręcz niemożliwą, ażeby jakakolwiek zwierzyna, choćby nawet przez psy wytropiona i ruszona, miała wyjść akurat na moje stanowisko... I gdy przez dłuższy czas nic nie usłyszałem, ani nie zobaczyłem, zacząłem na dobre powątpiewać...

Tymczasem psy pracowały. W pewnej chwili zdawało mi się, że słyszę, gdzieś daleko, słabe, jakby z pod ziemi się dobywające, szczekanie. Ale zaraz już wyraźniejsze: „dziam, dziam" zabrzmiało rozgłośnie, jak dzwonek i niosło się po lesie coraz dobitniej, coraz natarczywiej...

Zacząłem więc wierzyć w spotkanie i czekałem, stojąc, przyciśnięty do drzewa ze strzelbą w dłoni... Nie wiedziałem tylko i którą drogą zwierz wyskoczy, i jaki on będzie... Ale też cały urok takiego polowania na tej właśnie niepewności polega... W parowie pode mną mignęła mi naraz ruda plama lisa. Zatrzymał się na jedno mgnienie oka i zaraz skoczył w bok, niknąc za skałą. Ku mnie nie podążył, ale odbił i zdawał się uchodzić dalej, na stanowisko sąsiada. Strzelić nie mogłem, bo nie było czasu... Już był gdzieś daleko,

a mimo to żaden pies się nie pokazał. Widocznie nie za lisem goniły...

Gdy się tak nad tem zastanawiałem, usłyszałem nagle głos psa, wprawdzie jeszcze przytłumiony, ale już całkiem bliski, jakby na przedłużeniu jednej ze ścieżyn za załomem...

Ledwie zdołałem ochłonąć z wrażenia, jakie na mnie wywarł bliski skowyt, a już wyskoczył na ścieżkę, jakby z pod ziemi, na jakie 30 m., ogromny, jak się zdawało, kozioł. Zobaczył mnie odrazu i zahaczył o skalisty grunt swojemi stalowemi badylami... Chwila niepewności... Raptem skręcił, aby uskoczyć i odsłonił mi szyję i komorę. Strzeliłem... Zwalił się, jak piorunem rażony. Ani drgnął... Za chwilę i sąsiad wypalił... Echa strzałów rozniosły się stugębnym wrzaskiem po górach i ucichły...

Z nosem przy ziemi, z ogonem wyprostowanym, z miną niezwyczajnie poważną nadbiegł na ścieżkę najpierw jeden pies, a potem drugi. Obwąchały rogacza i lizać zaczęły ciemną farbę, sączącą się obficie z rany na szyi.

Po chwili legły na ziemi i, wywaliwszy ozory, odpoczywać zaczęły, dysząc ciężko.

Kozioł był istotnie duży, z wysokiemi, grubemi i rozwidlonemi rogami, ale jeszcze w baści.

Miałem wtedy prawo ubić i siutę, gdyby była wyszła, bo w Styrji niema ochrony dla kóz, ale na szczęście zdarzył mi się rogacz...

Pan Habersack nadszedł niebawem z pięknym lisem w rękach. Polowanie się skończyło.

Rozległa się zaraz trąbka, a na jej głos trzeci pies nadbiegł i sanie także podjechały.

Po krótkim posiłku ruszyliśmy wszyscy, szczęśliwi i zadowoleni, do domu.

Jazda powrotna trwała krótko.

Polowanie odbyło się sprawnie i wypadło gładko, jak na zamówienie, jakby na scenie...

Podziękowałem gorąco miłemu gospodarzowi za jego uprzejmość, za drogocenne na tem polowaniu chwile zapomnienia i za pełnię przeżytych wrażeń myśliwskich.

* * *

Było to już ostatnie moje polowanie w Krieglach.

Dnia 20 stycznia 1915 r. pojechaliśmy wszyscy oficerowie do Gracu, aby stawić się przed lekarzem generalnym do t. zw. superrewizji. Dziesięciu z nas otrzymało kategorję „A" i tym obaj obecni dygnitarze: generał i lekarz generalny nawet pogratulowali tężyzny i zdrowia, a zarazem i zdolności bojowych. Dziesięciu innych, do których i ja miałem szczęście należeć, dostało kategorję „B" i przeznaczenie do służby pozafrontowej.

Pierwsi odeszli w pole z najbliższemi bataljonami marszowemi i więcej do nas nie wrócili; wszyscy albo polegli w Karpatach, albo dostali się do niewoli... Nas zaś rozesłano do różnych formacyj przysposobienia wojskowego na Węgrzech.

Z drugiej grupy plącze się jeszcze nas kilku po świecie. Wprawdzie życie dalsze nie szczędziło i nam gorzkich rozczarowań, gotując niejedną przykrą niespodziankę, ale pozwoliło natomiast doczekać tej największej chyba szczęśliwości, że oglądamy dzisiaj żywemi oczami zmartwychwstałą, wolną Ojczyznę i że możemy zaszczytnej służbie u Najjaśniejszej Pani naszej poświęcić wszystkie zdolności i siły.

WŁADYSŁAW GUERTLER.



OWCZY PĘD.

Idąc do biura pewnej wrześniowej środy, natknąłem się na pana Władysława, inżyniera i myśliwego. Napotkanie zrana myśliwego, bodaj nawet wyżła, uważałem zawsze za dobry omen, technicy zaś należą do ludzi, z którymi najłatwiej można się porozumieć, o ile to zgadza się z ich obliczeniami.

Toteż momentalnie wymieniliśmy wrażenia z ostatniej niedzieli, którąśmy obaj poświęcili św. Hubertowi: inżynier zabił dziką gęś, wprawdzie średniej wielkości, ale zawsze gęś, ja zaś kaczora, który znów z tuszy dziwnie przypominał właśnie gęś.

Poczem z wzajemnie pobłażliwym uśmiechem ustaliliśmy, że należałoby w najbliższą niedzielę wspólnie zapolować.

Ale na co i gdzie? Kuropatw jest tak mało, że gdyby wypadła równie surowa zima, jak w roku ubiegłym, to nie Faliszewski, tylko kuropatwa zanuciłaby nam z płyty patefonu modną piosenkę:

— Choć tak kochałeś mnie ogromnie,
Zapomnij o mnie! Zapomnij o mnie! —

— Wie pan co — oświadczył po namyśle p. Władysław — jedźmy do Gruszki na kaczki. Jest ich tam moc, jak meldował mi tamtejszy sołtys. Obok Gruszki przepływa rzeka Por, a doliną, pełną bagien i stawów, ciągną kaczki chmarami. Pozatem mam do dyspozycji auto... Wyjedziemy o 4-ej rano — ciągnął inżynier — na miejscu będziemy o 6-ej. Ale, ale! mam

jeszcze jedno wolne miejsce... Kogoby tu jeszcze zabrać?

— Może profesora Szpaka — zaproponowałem — on jest lekki po ostatniej kuracji.

— Tak? Dobrze! To może pan go zawiadomi... Nawet kiedyś mi wspominał, że każde polowanie lepiej mu robi, niż tuzin zastrzyków arszenikowych.

Pożegnałem miłego projektodawcę i zaraz po przyjściu do biura skreśliłem parę słów do profesora.

Po upływie małej godzinki w moim gabinecie już rozbrzmiewał jego soczysty bas.

— Serdecznie panu dziękuję za pamięć... Człowiek cały tydzień orze... Dobrze byłoby przewietrzyć się choć w niedzielę, uwolnić płuca od zamagazynowanego siarkowodoru i dwutlenku węgla (profesor był, zdaje się, świeżo po lekcji chemji życia powszedniego) ...A jeszcze i zapolować w dodatku! Nie! — Bardzo panu dziękuję! Pozwoli pan, że zapalę cygaro... Pod warunkiem jednakże, iż nie zrobi to panu różnicy... Ma być niezłe!

Rzeczywiście, dobrze się składa... Tylko, że mój przyjaciel skarbnik (bardzo miły człowiek), który obecnie jest na urlopie, wczoraj umówił się ze mną, że w niedzielę pojedziemy na kaczki. Tak! napewno... na kaczki! Prawdopodobnie miał na myśli Gruszkę, bo to jedyny nasz teren, gdzie są kaczki.

Mina mi się wydłużyła. — No — bąkałem — pojmuje pan profesor... Ale ja tu nic nie mogę poradzić. Istotnie pan skarbnik jest bardzo miłym człowiekiem, ale w aucie, niemojem w dodatku, jest miejsce dla trzech myśliwych, w Gruszce zaś jest teren niewielki...

Tu na kartce papieru wykreśliłem rzekę, obok niej wieś oraz dolinę, w którą wrzynają się trzy odnogi rzeki. Trzy odnogi dla tyluż myśliwych. Trzeba płynąć krypami. Kryp we wsi jest trzy. Przewoźników było dawniej czterech, ale jeden umarł, jak się dowiaduję — referowałem.

— A rzeka? — zaoponował lubiący ścisłość profesor.

— Na rzece niema co robić, boć wieś leży tuż nad rzeką. Zresztą kryp niema, ani przewoźników!

— Aha! No tak! Oczywiście! Co to jutro? Czwartek? No to jeszcze mamy dość czasu, aby szczegóły omówić. Dowidzenia, dowidzenia!

A teraz, gdy niepodobna logicznie, opowiadajmy chronologicznie, jak w starych podręcznikach historji.

Czwartek. Odwiedził mnie skarbnik. Ten wszedł jak stał, w kaloszach in medias res. Usiadł, wytrzeszczył oczy i wyrecytował: Wynajęliśmy wygodny wóz i pojedziemy w sobotę, aby jeszcze zdążyć na zloty. Bo i cóż niedziela? Właśnie w niedzielę trzeba pod wieczór uciekać z Gruszki do domu — co? Wóz niesłychanie wygodny. Specjalny. Na Gruszkę już dawno miałem apetyt. Inni też. Lekko zabierze się nas sześciu, prócz furmana. Ja, profesor Szpak, pan Wacio, referent Koc, doktór Położnik, doktór Prosper też... Nie! Toby dla pana nie było miejsca... Ale doktór Prosper napewno nie pojedzie... Zamówił kogoś do prześwietlania...

Ogromnie chciałbym pana zwerbować do naszej kompanji... Byłoby weselej... co?

Referent Koc gra na flecie hawajskim. Bierze z sobą. Wesoła bestja jak sto djabłów! — co?

— Zapomina pan, panie skarbniku, że umówiłem się z inżynierem na niedzielę rano. Panowie jadą gromadne i w sobotę... Ja zaś... — próbowałem zatamować potok...

— Inżynier? Wielka rzecz! To się go przeprosi — co? Ja to załatwię. Eh! daj się pan namówić... Co to dzisiaj? Czwartek? Mamy jeszcze czas — co? Pa!

Piątek. Wpada do mnie inżynier.

— To pan już ze mną nie jedzie! Wczoraj był u mnie pan skarbnik i oświadczył w pańskiem imieniu, że pan jedzie z nim i jeszcze z kimś. Ponadto w sobotę. Ja w sobotę nie mogę, mam objazd. Wie pan co? Jedź pan z nimi w sobotę po biurze, a ja przyjadę tam w niedzielę rano z redaktorem Kropikiem i sędzią Wrzosem. Żyć mi nie dają! Na kaczki i na kaczki! Epidemja jakaś, czy co? Uciekam, — śpieszę się! — I wyleciał.

Za kwadrans jakimś obolałym krokiem przyłazi mój przyjaciel Wałaszkiewicz. Wtłoczył swą korpulentną postać w fotel i nim się odezwał, popadł był w pięciominutową zadumę.

Kłopoty wekslowe wymagają nieraz chwilki ciszy i skupienia władz umysłowych. Nie przerywałem mu bynajmniej. Sobie też. Coś należy dla przyjaźni uczynić.

— Jedziesz w niedzielę na kaczki? — zaczyna wywiad.

— Niby jadę... bo co?

— Nic! Mam konie, chciałem cię zabrać z sobą do Gruszki, ale dowiaduję się, że jedziesz z inżynierem i z profesorem Szpakiem... autem. Mógłbyś i o mnie pamiętać... Przecież rozumiesz, że wolałbym podróż automobilem... Chociaż mam swoje własne, dobre konie i bryczkę świeżo odnowioną... — cedził zwolna, obserwując wrażenie.

— Ależ mój kochany — zaczynam obronę.

— Mniejsza o to — dowidzenia!

I wytoczył się obrażony do tego stopnia, że nawet drzwiami nie trzasnął, jak zwykle to czynił.

Sobota. Po drodze do biura widzę wóz, napełniony po brzegi myśliwymi. Jest ich siedmiu z czterema psami. Kłaniamy się: ja ze zdumieniem, oni dość figlarnie. Przesyłają mi całusy. Ani profesora Szpaka, ani pana skarbnika wśród nich niema.

Zato w biurze zastaję ostatniego. Jest wniebowzięty. Nie mogłem się pana doczekać — powiada.

— Nareszcie wyklarowało się wszystko! Otóż ja i profesor Szpak zaraz jedziemy końmi pana Wałaszkiewicza. On jedzie też. Zaś pan pojedzie sobie tak, jak pan się umówił... z inżynierem automobilem...

— Sameś pan to odwołał, u djabła! — wyrwało mi się mimowoli — a teraz...

— Rozumiem — podjął skarbnik — ale to łatwo da się sprostować. Szkoda, że brak mi już czasu. W razie czego może pan dzisiaj jeszcze pojechać wagonetką. Dojeżdża się końmi do cukrowni — raptem dwadzieścia kilometrów — a stamtąd fiut! i w trzy godzinki jest pan w Gruszce! Sapalski zawsze tak jeździ. Nawet mówił mi, że jutro przyjedzie. Bije bo bije, sześć kaczek za każdym razem!

A tamci już pojechali! Ale im pilno! Uf-uf! Chwa-

ła Bogu! Wszystko w porządku! Niech pan pomyśli — tylu chłopa ulokować — co?

Ile radzi mi pan wziąć nabojów — co?

No... do miłego widzenia... w Gruszce!

Zmełłem na puder kilkanaście przekleństw i jeden prawdziwy ząb. I niesłusznie! Pan skarbnik jest bardzo miłym i uczynnym człowiekiem, szczególnie gdy jest na urlopie. A profesor Szpak wogóle...

— — — — — — — — — — — —

Niedziela. Siedzę oczywiście w domu. Nad wieczorem poszedłem do parku. Nic tak nie odosobnia duchowo i nie umartwia fizycznie jak zwarty i rozświergotany tłum spacerowiczów. Ponadto świetnie robi na sen.

Na jednej z bardziej zarzuconych ławek, stworzonej do gruchania we dwoje, zastałem inżyniera.

Siedział tyłem do publiczności i nudził się.

— Co pan tu robi? — pytam.

— No, a pan?

Wyłuszczyłem mu cały ten kram i jeszcze raz spróbowałem się zdziwić, że go tu zastałem.

— To jest bardzo prosta rzecz — powiada. Mówiłem panu, że wezmę redaktora Kropika i sędziego Wrzosa, prawda? Kropik, jak Kropik, ale sędzia złapał mię wczoraj na ulicy, uściskał i zaklął na wszystkie świętości, abym zabrał i generała.

— Co za generała? — pytam.

— Generała z Warszawy, kuzyna. Siedzi od tygodnia u niego na urlopie i nudzi się. Trzeba — powiada sędzia — jakoś uprzyjemnić mu czas. A generał myśliwy zawołany. O mały włos nie pojechał z kimś tam na bawoły do Afryki...

Dałem im auto i siedzę tutaj... na ławce.

Usiadłem obok inżyniera i obaj w milczeniu patrzyliśmy na gasnące słońce.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

Zamość.

SZKOCKI TERRIER (SCOTCHTERRIER).

Opierając się na odczycie p. W. Zentnera, wygłoszonym na zebraniu „Klubu terrieristów" w Pradze, oraz na rozprawie Diefenbacha: „Der schottische Terrier" skreślę pokrótce pochodzenie i charakterystyczne cechy tej rasy.

O jej pochodzeniu niewiele można się dowiedzieć nawet w Szkocji. To tylko jest pewnem, że w dzikiej, niedostępnej, zachodniej części Szkocji — i na wyspach Hebryckich od kilku wieków używanym był do łowów ostrowłosy terrier na niskich nogach. O maści jego, wymiarach i typie — nie wiemy prawie nic.

Pierwszą wzmiankę o szkotach znajdujemy dopiero w monografji Tl. Gray'a, wydanej w roku 1887. Cytowane tam są wspomnienia kapitana Mackie z podróży w r. 1880 po wyżynie szkockiej, gdzie zetknął się z łowcami lisów, którzy do tego rodzaju polowania wyhodowali sobie specjalne psy. Z tych to wędrówek po Szkocji przywiózł kapitan parę typowych okazów i one to przypuszczalnie stanowią podstawę dzisiejszej racjonalnej hodowli terrierów.

Zasiedziali patrycjusze szkoccy hodowali te pieski podług osobistych upodobań, a domieszkę różnych ubocznych, zupełnie obcych linij osiągnęli różne, niepodobne do siebie, modyfikacje rasy. Tak np. rodzina Macdonalds of Skyc miała upodobanie do psów z długą sierścią (dzisiejsze Skye-terriery), Malcoms of Poltalloch zaś lubował się w psach z głową krótką, białych lub kremowych, skąd powstał dzisiejszy West - Higland - White - Terrier. Prawdopodobnie też w ten sam sposób powstał i terrier yorkshirski.

Powagi hodowlane i znawcy terrierów, jak Mc Canolish, sekretarz angielskiego Scottish - Terrier - klubu i wiceprezes Kennel - klubu — twierdzą, że dzisiejszy „scotch - terrier" pochodzi wprost i w formie zupełnie czystej od starych linji szkockich, mających już ustalone cechy charakterystyczne, które dzisiejsza hodowla drogą selekcji stara się utrwalić i spotęgować. Co do podobieństwa zewnętrznego ze szkockimi protoplastami — nie można nic pewnego powiedzieć, ponieważ nie udało się odnaleźć ani jednej starej ryciny szkota.

Przed sędziami stanęły terriery po raz pierwszy w roku 1879 na wystawie w Aleksandra Palace, oraz w Perth i Wundee — poczem dopiero pod nazwą „Scotch - terrier" i „Broken - Hair - terrier" (ostrowłose) były zapisane do rodowej księgi Kennel-klubu.



Champ. „Wodman of Docken".

Wybitne znaczenie w hodowli szkotów miała w roku 1890 znakomita parka Heather Prince i Seafield, która fenomenalną przelewnością krwi oddała hodowli znakomite usługi. Niema dziś w Anglji ani jednej linji, którąby nie miała w sobie choć kropli krwi tej pary.

O łowieckich cnotach terriera pisze Capito, któremu jednego oddano na wychowanie i naukę: „W krótkim czasie zaczął zdradzać chęć do pracy i dobry nos. Zająca i sarnę gonił głosem dobrze — a zawsze znalazł drogę powrotną. Mimo młodego wieku dusił lisa i kunę w żelazach, a po tropie postrzelonego jelenia szedł zupełnie pewnie, padłego zaś głosił doniosłem szczekaniem".

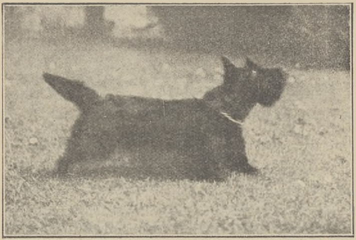
Radca nadleśniczy Gruenkranz z Reichenau (Dol. Austrja) tak pisze o szkotach: „Od 15 lat poluję ze szkotami, używając ich do odnajdywania grubych i drobnych postrzałków. Jako tropowce są niezastąpione, pracując swobodnie w terenie, w którym ciężki Hanowerczyk nie dałby sobie rady.

Według licznych świadectw hodowców, szkoty są bardzo ostre i silne, co przy niskiej budowie ciała pozwala im znakomicie norować.

Uwłosienie szkotów bywa różne, od długiego i miękkiego do krótkiego i ostrego, które uchodzi za najbardziej typowe.

Wysokość standaryzowana wynosi 23 do 30 cm., waga suki 7 — 8 kg, psa 8 — 9 kg.

Uszy ostro zakończone i stojące. Zwisłe uchodzą za wielką wadę i dysklasyfikację szkota na pokazach.



„Ceres v. Starkengurg".

Maść bywa czarna, bronzowa, srebrna, lub ciemnostalowa, wreszcie piaskowo - żółta. Jedynie białe łatki są niedopuszczalne, z wyjątkiem małego żabocíku. Nos i pazurki czarne, oko ciemno bronzowe.

Spolszczył z oryginału czeskiego
WŁ. KARNKOWSKI.

HODOWLA NORKI.

Ostre przesilenie, jakie przeżywa w chwili obecnej rolnictwo, a którego końca nie da się dokładnie określić — zmusza wielu ludzi do poważnego rozejrzenia się za nowemi źródłami dochodu przy możliwie nieznacznych wydatkach inwestycyjnych.

I tak np. Niemcy, idąc śladami Ameryki i korzystając z jej doświadczenia, pierwsze w Europie pomyślały o hodowli zwierząt futerkowych. Za Niemcami poszły państwa skandynawskie i Austrja, gdzie hodowlę tę można uważać za poważne źródło dochodu. W Niemczech istnieją już mocne organizacje, czuwające nad rynkiem reproduktorów i gotowej produkcji hodowlanej.

Zapotrzebowanie futer wzrasta stale. Hodowla nie potrzebuje chowanych przez siebie zwierząt zabijać dla spieniężenia futra; budzące się zainteresowanie hodowlą da mu sposobność zbytu zwierząt żywych, rozpłodowników, tem cenniejszych, że zrodzonych w naszym klimacie. Do chowu i rozmnoży u nas nadają się wszelkie zwierzęta futerkowe, spotykane w Ameryce Północnej i u nas: lisy niebieskie i srebrne, kuny, norki, szopy i t. p. niemniej króliki, zwłaszcza ich gatunki najcenniejsze (Kastorrex i Chinchilla). Te ostatnie powinny być poważnie brane w rachubę, mięsem swojem bowiem częściowo pokrywają zapotrzebowanie innych zwierząt futerkowych, drapieżnych. W naszych warunkach — dla rolnika, czy przedsiębiorcy, który specjalnie hodowli chce się poświęcić, uważam za najodpowiedniejszą — norkę.

Norka (Mustela vison) — należy do rodziny kun. Amerykańska, chowana (typu Quebeck i Alaskiego) jest mniejszą od europejskiej. Jest to zwierzątko wesołe i czyste, łatwo się aklimatyzujące. Zadowala się małą przestrzenią, klatkę zaś najlepiej umieścić w ogrodzie, zwłaszcza w letnie upały. Na wolności żyje samotnie, wciąż zmienia miejsce pobytu, najchętniej przebywa w pobliżu potoków.

W hodowli jest norka o wiele sympatyczniejszą od innych drapieżnych — nie wydaje bowiem żadnej niemiłej woni. Wystarczająca wielkość klatki wynosi: 100 × 175 × 75 cm. Przy zakupie reproduktorów, sprzedawanych tylko parami, nie należy zwracać uwagi na cenę, lecz tylko na jakość futra, zdrowotność i pochodzenie. Klatki z siatki drucianej stawia się rzędem w pewnej od siebie odległości, nie zaopatrując ich na zimę, norce bowiem nie szkodzą nawet największe mrozy.

Najważniejszem zagadnieniem hodowli jest karmienie. Pożywienie norki stanowi każde mięso z wyjątkiem wieprzowego.

Wołowe serce i wątroba, odpadki drobiu (głowa, nogi i skrzydła), mięso i wnętrzności królików, wszelka zwierzyna szkodna leśna i polna, ryby, żaby, myszy — jako dodatek — śrut obroczny i warzywo, a podczas karmienia — mleko. Jak widzimy, wybór łatwy tak w warunkach wiejskich, jak miejskich, wyżywienie nie trudne przy małem zapotrzebowaniu i niewybredności norki. Głównemi warunkami higieny jest rozmaitość pokarmu, jego świeżość i nie przesadzona ilość.

Karmi się rano i wieczorem, dając tylko tyle, ile norka zjeść zdoła. Mięsa wystarcza na sztukę 40 gr. na raz — w okresie parzenia i karmienia młodych — nieco więcej.

Zaopatrzenie się w karmę nie jest trudne, o ile się ma w pobliżu rzeźnika, potok lub rzekę, wreszcie aprowizację norki można ułatwić, hodując obok niej kró-

liki poprawnej rasy futerkowej. Jaja w małej ilości (1 : 1) dajemy norce jedynie w czasie karmienia młodych. Zwierzątko nie powinno być chude, dobrą kondycję stanowi nie tusza, lecz połysk włosa. W lecie koniecznem jest w każdej klatce naczynie ze świeżą wodą, którą w zimie zastąpi nawieziony do klatki śnieg, lub wrzucone drobne kawałki lodu.

Samiczka daje raz w roku przeciętnie 5 młodych. Brzemienność trwa 50 — 53 dni i wymaga zdwojonych starań hodowcy. Młode po 7 tygodniach oddziela się od matki i chowa w innej klatce razem. Po 3 — 4 miesiącach są już dorosłe; parzą się zaś jeszcze w ciągu tego samego roku. W jesieni rozsadza się je parami w osobnych klatkach. Trzy, a nawet czteroletnia hodowla w pokrewieństwie nie wywołuje oznak najmniejszego zwyrodnienia. Cena jednej parki chownej wynosi 2½ — 3 tysięcy zł.

Klatka druciana dla jednej pary — gotowa, kosztuje 150 zł., dla rocznego przychówku 5 sztuk — 375 zł. Karma roczna dla 1 parki — 200 zł. dla młodych w ciągu 6 miesięcy — 250 zł. Do tego doliczyć należy koszt nabycia jednej parki chownej, własną pracę, ubezpieczenie, oprocentowanie kapitału, co wszystko razem da sumę około 5.000 zł. Przyjmijmy, jako średni przyrost roczny 4 młode, a widzimy, że kapitał, wyłożony na hodowlę w ciągu roku, podwoił się. Jeśli mały hodowca nie będzie liczył własnej pracy, a część pożywienia pokryje odpadkami wiejskiego gospodarstwa, lub hodowlą królików, spadną znacznie koszty produkcji norki, względnie o tyle podniesie się rentowność tej imprezy.

Norka w niewoli nie podlega żadnym chorobom, o ile tylko klatki będą co 8 — 14 dni czyszczone, pożywienie świeże, zdrowe i w miarę obfite. Najważniejszym jednak warunkiem powodzenia hodowli jest zamiłowanie hodowcy.

Ogólnie można powiedzieć, że hodowla norki (w małym zakresie) przystępna jest dla każdego, kto posiada skromny kapitalik zakładowy i szczerą chęć do pracy na tem polu.

FERRY VOLNY.

SADY NA „MISZNEM".

Z PRZEŻYĆ ŁOWIECKICH W DOLSKU NA WOŁYNIU.

„Jedziemy jutro na sady!" — powiedział przy wieczerzy mój najmilszy w świecie gospodarz, jakby odgadując me gorące życzenie.

„Skoro tak, to dobrze!" — odrzekłem, siląc się na stoicyzm, w głębi serca wielce jednak uradowany.

Skończyliśmy śpiesznie posiłek i udaliśmy się do swoich apartamentów na krótki spoczynek, bo już o 2-giej po północy należało wyjeżdżać na upragnione „sady".

A sady kacze w Dolsku mają swoją tradycję i sławę.

Rozlewa się tam w pobliżu głębokie, ukryte wśród lasów, jezioro „Miszne". Kształtu elipsy, całe zarośnięte wzdłuż brzegów trzciną i liljąwodną, świeci zdaleka taflą srebrzystą. Mimo gęste wodorosty i widoczną w znacznej głębokości, zieloną pokrywkę ma „Miszne" dno twarde...

Do samej wody prowadzi ponad trawy, długa kładka dębowa. Na jej końcu wznosi się trybuna ze stołem i dwiema ławkami.

Jest to przystań; u jej podnóża kołyszą się na falach dwa, do pala przykute, czółna.

Na jezioro zlatują się o wczesnym świcie tysiące kaczek, wracających z pól po całonocnem żerowaniu, „sadząc się" dla odpoczynku na czystej jak kryształ, wodzie. Stąd nazwa „sady".

Strzela się albo z czółna, ukrytego w zaroślach, albo ze zbudowanych wśród trzcin i dobrze zamaskowanych pomostów.

Samo polowanie trwa krótko, pół godziny najdłużej, gdyż partje kaczek, raz strzelane, wynoszą się czemprędzej na inne, okoliczne jeziora i już na „Miszne" nie wracają, inne zaś partje czynią później to samo, a gdy się w ten sposób, cały ich kontygent wyczerpie, kończy się polowanie.

Wstawał dzień 22 sierpnia, chmurny i wietrzny. O 2-giej byliśmy na nogach.

Wiatr z początku nieznaczny przybierał na sile coraz bardziej. Zanim dotarliśmy do jeziora, rozpętała się wichura z szybkością huraganu.

Jadąc gęstym lasem, nie odczuwaliśmy jej potęgi, w pobliżu jednak wody stawała się groźną. Ponury ryk z oddali mówił o tem aż nadto wyraźnie.

Należałoby właściwie wracać... Ale nie na nas strachy.

Mimowoli nasuwały mi się na myśl słowa: „Lecz, żeby nocą jechać na jezioro, trzeba być najśmielszym z ludzi..."

Wkrótce znaleźliśmy się na kładce, a niebawem na trybunie. Stali już na niej jak gnomy, dwaj strzelcy...

Wsiedliśmy do czółen i wyjechali po ciężkiej walce z trzcinami, miotanemi falą i okrytemi płachtami białej piany, na czystą wodę.

Ciemno, choć oko wykol!...

„A jakie szatan wyprawia tam harce, jakie się larwy szamocą..." — szumiało mi wciąż w uszach, gdy tymczasem trzciny, przeginane gwałtownym wiatrem, obejmowały nas swemi mokremi łodygami, jakby z dzikiej ochoty, by wciągnąć nas w czarne wód odmęty, lub w bezsilnej złości biły nas po głowie...

A fale szły coraz potężniejsze, uderzały o boki czółen i przechylały je niebezpiecznie. Trzeba było klęczeć na obu kolanach, aby zachować równowagę, trzymać przytem silnie broń w ręku i chronić naboje przed zamoknięciem.

Woda rozpryskiwała się co chwila o krawędzie nikłych łupin i oblewała nas rzęsistym, ciepłym deszczem.

Przewoźnicy orjentowali się w ciemnościach wcale dobrze i zawieźli nas szczęśliwie, po upływie jakiejś półgodziny, do wyznaczonych stanowisk.

Mój towarzysz wylądował na pomoście, mnie powiózł strzelec dalej...

Tymczasem jaśniało na wschodzie.

Czynił się dzień szary, bez blasku i uśmiechu.

Wicher nie ustawał.

Ledwie odpoczęliśmy nieco i przysposobili do spotkań, a już poczęły kaczki lecieć i zapadać najpierw pojedynczo, potem po kilka, wreszcie stadami. Zataczały potężne łuki, zniżały się nad wodę, podnosiły znowu na rozpiętych skrzydłach, wkońcu spływały i siadały z głośnym pluskiem na sfałdowanej powierzchni.

Szum lotek nieprzerwany, świsk bliski i dalszy, kwakanie i skrzeczenie, słowem, gwar nie do opisania!

Nie widzieliśmy jednak jeszcze wyraźnie sylwet kaczych.

Naraz hrabia wypalił pierwszy. Huk wystrzału, spotęgowany wichurą, leciał ponad wodą i odbijał się tysiącznem echem po lesie, budząc grozę wśród wszego stworzenia.

Kaczki porwały się jak opętane... Ale zaraz nadleciały nowe ich zastępy, które strzału nie usłyszały i zapadać zaczęły.

Śpieszno im było do miłej, ciepłej kąpieli.

Przyszła kolej i na mnie... Stojąc w czółnie, nie mogłem utrzymać równowagi i po każdym strzale omal nie wpadałem do wody. Pozycja wcale nie wygodna, ale grzmotnąłem raz i drugi i dwie kaczki spadły, za chwilę znowu dwie i znowu jedna...

A były i pudła...

Zdarzało się, że, chociaż dobrze z przyrzutu zmierzyłem i za spust pociągnąłem w odpowiednim momencie, kaczka jednak zdrowo dalej leciała... Czasem znów kaczki szły doskonale na strzał, tymczasem podmuch wiatru rozchylił niespodziewanie trzciny i mnie odsłonił, więc ptaki zasadzkę zobaczywszy, odbijały z miejsca i w inną już stronę się niosły. Dalekie strzały były bez skutku.

Kanonada jednak trwała dalej.

Wreszcie dzień biały się zrobił.

Zwierzyna dobrze już nas zdaleka widziała i, ciągnąc wysoko, na inne jezioro, „Świętem" nazwane, odlatywała...

Wkrótce znalazł się nieproszony nasz wspólnik, wielki amator łowów na kaczki.

Już wcześniej zobaczyłem go nad lasem w szarej poświcie wschodzącego dnia. Zawisał w powietrzu nieruchomo, podobny do olbrzymiej ważki lub samolotu, i trwał tak przez dłuższą chwilę.

Jakby się namyślał, co robić, lub badał położenie...

Potem zniżył się nagle i zatrzymał tuż nad powierzchnią wody...

Po szybkich, zdecydowanych poruszeniach skrzydeł poznałem odrazu, że to gołębiarz.

Nadleciała kaczka, puścił się za nią pędem, ale nadaremnie.

Na swoje szczęście, kaczka dosięgła szybko wody. Stanął nad nią bezradny. Przedrzeźniając się rabusiowi głośnym pokwakiem, dała nurka. Uderzył na inną, ale i ta zniknęła pod wodą...

Kręcił sobą astur tu i tam, strzelał lotem w górę i znów opadał, ale nic kaczkom zrobić nie zdołał. Wreszcie odleciał, zapewne w przeświadczeniu, że ma wybitnego pecha...

Czyżby go dzisiaj przy wyprawie na łowy spotkał jakiś zły omen?

Kto wie?...

Po rudawem upierzeniu na piersiach poznałem, że był to młody egzemplarz...

Jakże pragnąłem, ażeby nadleciał na moje stanowisko! Widział mię jednak dobrze i dlatego w inną poszybował stronę.

Próbować szczęścia!...

Jeden ze strażników, mających opiekę nad tym właśnie rewirem, meldował potem hrabiemu, że siedm już krzyżówek gołębiarze pożarły. Widome ślady ich uczty oglądał w lesie.

Przed opuszczeniem stanowiska widziałem jeszcze liczne kurki i łyski, biegające zabawnie po liściach lilji wodnej w pogoni za muszkami. Zostawiłem je w spokoju.

O 6-ej polowanie się skończyło.

Szukamy teraz naszych trofeów. Żadnej kaczki jednak nie widzimy...

Z siedmnastu sztuk strąconych z powietrza na czystą wodę, niema ani jednej!... Cóż to?

Okazało się później, że wiatr-psotnik zasunął je głęboko w sitowie. I trzeba było uważnie szukać i dobrze się namozolić, ażeby je znaleźć. Podnieśliśmy wszystkie...

Ale „sad" się nie udał.

Gdyby nie burza, byłoby dziczyzny conajmniej dwa razy więcej. Strzały były trudne, to prawda, albo może wiatr znosił śruty i szły krzywo...

WŁ. G.

KORESPONDENCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Z POWIATU OBORNICKIEGO.

Według stanu z końcem roku 1931 istnieje na terenie powiatu Obornickiego 133 zarejestrowanych obwodów łowieckich o łącznej powierzchności około 81,145 ha. Z ilości tej przypada na obwody własne 76, czyli 57% a w stosunku do powierzchni 65%; resztę stanowią obwody łowieckie wspólne. Wykazana powyżej powierzchnia obwodów własnych obejmuje między innemi 4 państwowe nadleśnictwa — około 23,000 ha. i 6 domen państwowych — 3296 ha, razem więc posiadłości państwowej około 26,296 ha; pozatem prywatne obwody łowieckie wykazują około 2900 ha powierzchni leśnej, w tem 2420 ha na terenie obwodów własnych.

Różnorodność zwierzyny łownej, występującej na terenie łowisk tut. powiatu, zasługuje na szczególną wzmiankę; zwierzyna gruba reprezentowana jest przez jelenie, daniele, dziki i sarny, a drobna zwierzyna ma swych przedstawicieli w szarakach, dzikich królikach, lisach, kunach, tchórzach i wydrach. Z ptactwa wy-

stępują: drop, cietrzew, bażant, kuropatwa, przepiórka, chróściel, dzika gęś i kaczka, wreszcie słonka i kszyk.

Stan wyszczególnionych powyżej rodzajów zwierzyny jest rozmaity i tak: stan jeleni — bardzo dobry, danieli — dobry (tylko w jednem łowisku), dzików — średni, sarn, zajęcy i kuropatw dość dobry a dzikich kaczek dostateczny. Dziki królik nie rozmnaża się tak, że stan jego należy określić jako minimalny w stosunku do przedwojennych ilości. Dropie mają swą stałą ostoję (kilka do kilkunastu sztuk) tylko w jednem łowisku, cietrzew zanika niemal zupełnie, a reszta wymienionej zwierzyny występuje sporadycznie, w niewielkich ilościach.

Dla ścisłości podaję, że jelenie spotykamy na terenie powiatu obornickiego wyłącznie w jego północno-zachodniej części, graniczącej z wielkim obszarem lasów prywatnych i państwowych powiatów czarnkowskiego, szamotulskiego i międzychodzkiego (dawniej t. zw. puszcza międzychodzka), podczas gdy dziki trzymają się więcej w mniejszych, izolowanych kompleksach leśnych w południowo - wschodniej części powiatu, co tłumaczy się bogatszem żerowiskiem tych mniejszych kniei w okresie zimowym.

Ostoja jeleni da się powierzchniowo określić cyfrą około 15.000 ha, a ich stan ilościowy wynosi około 400 sztuk; na terenie ostoi pada rocznie przeciętnie 10 sztuk byków łownych a na terenie graniczących z nią wspólnych obwodów łowieckich (gminnych) około 20 sztuk: stosunek fatalny, jeżeli się uwzględni, że rewiry hodowlane łożą koszty na utrzymanie zwierzostanu i na szkody, wyrządzane przez zwierzynę prawie tylko po to, by przygodni „łowcy" na granicach lasów wybijali podwójną ilość byków!

Jakżeż dobroczynnem jest w tym wypadku nowe prawo łowieckie, które zezwala na odstrzał jeleni-byków tylko przez sześć tygodni w roku; w innych warunkach bowiem mielibyśmy tego królewskiego zwierza tylko w muzeach!

Dzięki zatem należytej ochronie jelenia przez prawo, stan jego powiększa się znacznie i widocznie; nie da się natomiast powiedzieć tego w odniesieniu do sarn i zajęcy, tych naturalnych podstaw gospodarki łowieckiej, ponieważ dobrym i celowym zamierzeniom ustawy, przeciwstawia się brak zrozumienia doniosłości racjonalnej gospodarki u przeważającej większości dzierżawców gminnych obwodów łowieckich jak również u miarodajnych czynników, jakimi są bezsprzecznie spółki łowieckie.

Inicjatywy i zabiegi najlepszych myśliwych - hodowców około podniesienia a nawet tylko utrzymania swego zwierzostanu, rozbijają się bardzo często o chiński mur w postaci poszczególnych spółek łowieckich, które uchwalają wydzierżawianie gminnych łowisk wspólnych i własnych tylko jednemu z mieszkańców danej gminy albo też dopuszczają na publicznych przetargach do absurdalnie wysokich tenut dzierżawnych, nie stojących absolutnie w żadnym stosunku do bogactwa łowiska i udzielają przybicia najwyżej dającemu, bez względu na jego etykę i wartość jako myśliwego! Tem postępowaniem tłumaczy się też coraz większy zanik zwierzostanu na gminnych terenach łowieckich, na który obecnie składa się tylko zwierzyna, wychodząca na żerowisko z sąsiednich łowisk hodowlanych większej własności państwowej i prywatnej.

Najwięcej szkodliwymi dla zwierzostanu są dzierżawcy, zamieszkali w danym obwodzie łowieckim — właśnie ci zastrzeżeni przez spółki łowieckie — przeważnie drobni gospodarze, którzy do poczynań myśliwskich, według ich swoistej etyki, zaliczają również kilkakrotne w ciągu sezonu opolowywanie tego samego terenu na zające — poza stałem, bo niemal codziennem polowaniem na pomyka, odstrzeliwanie kuropatw aż do ostatniej sztuki ze stadka, zawzięte wysiadywanie w dołach lub na czatowniach przy granicy lasu państwowego lub innego bogatszego łowiska, w celu odbicia każdego kozła, jelenia a nawet zająca i królika, wychodzących z „cudzego" terenu, i t. d.

Z pomocą tej niszczycielskiej pracy przychodzą tuziemcom powiatu zamiejscowi przygodni nemrodzi, w pierwszej linji z Poznania, odległego od centrum powiatu obornickiego zaledwie o 30 klm., a obfitującego w myśliwych „z Bożej łaski", którzy mordowanie zwierzyny w podany powyżej sposób, uważają za rodzaj wytchnienia, poprostu za sport!

Nie da się zaprzeczyć, że dokonywująca się u nas demokratyzacja łowiectwa, sprowadza coraz większy zanik ogólnych zasad prawidłowego myślistwa a w następstwie tego staje się istotną przyczyną zmniejszania się zwierzostanu. Dotyczy to narówni powiatu obornickiego jak i wielu innych; dający się wszystkich coraz więcej odczuwać obecny kryzys gospodarczy, związuje ręce elicie myśliwych, wydając zwierzynę na łup rozmaitych strzelców, dopatrujących się w polowaniu źródeł dochodowych i eksploatujących łowiska właśnie z tego punktu widzenia.

W przedstawionych powyżej, poważne refleksje nasuwających warunkach łowieckich tut. powiatu, odczuli wszyscy myśliwi, dbający o należyte utrzymanie zwierzostanu, dobroczynność postanowień polskiego prawa łowieckiego, specjalnie w kierunku ustalonych niem terminów ochronnych poszczególnych rodzajów zwierzyny; tem boleśniej jednak dotyka nas, jak i ogół myśliwych zachodnich dzielnic, upoważnienie również wszystkich dzierżawców gminnych terenów łowieckich do uczestniczenia w odstrzale sarn-kóz w okresie od 15.I. — 15.II. 1932. Tego rodzaju zarządzenie godzi przedewszystkiem i zasadniczo w nadwyrężoną i tak już dostatecznie etykę myśliwską, gdyż zezwala na odstrzał wysoko kotnych kóz; a przecież można było dokonać to równocześnie z zarządzonym odstrzałem łań w grudniu albo też, jak dotychczas w październiku i listopadzie, jako najodpowiedniejszym okresie i to wyłącznie tylko w łowiskach hodowlanych! Pozatem cały dorobek czteroletniej, ustawowej ochrony zwierzostanu sarn, narażony został powyższem zarządzeniem na bardzo poważną redukcję ze strony niesumiennych dzierżawców gminnych łowisk, na których sarna jest tylko zwierzyną przechodnią, bo wychodzącą jedynie na żer z sąsiadujących rewirów hodowlanych; w tych ostatnich nie można też będzie przeprowadzić selekcyjnego odstrzału kóz, gdyż naznaczony jednomiesięczny termin jest dla tego celu stanowczo za krótki. Wreszcie muszę tu podnieść, że stan sarn w zachodnich województwach nie podniósł się jeszcze po stratach srogiej zimy 1928/1929 na tyle, by wymagał już obecnie masowego zmniejszenia; to

też odstrzał kóz powinien był być odniesiony co najwyżej do specjalnych łowisk na indywidualne wnioski ich właścicieli.

Dla poparcia moich tez o niesumienności dzierżawców okolicznych obwodów łowieckich gminnych, graniczących z hodowlanemi łowiskami, podaję fakt, że w ubiegłym roku na 1000 ha terenie gminnym, graniczącym z leśnym majątkiem o powierzchni 8000 ha odstrzelili dzierżawcy 42 (słownie czterdzieści dwa kozły, a takich przykładów możnaby podać corocznie bardzo wiele. Można też łatwo przedstawić sobie rzeź niewinnych kóz, jaka rozpocznie się od 15-go stycznia 1932 na podobnych terenach, których w powiecie naszym jest niestety aż nadto wiele!

W uzupełnieniu charakterystyki stosunków łowieckich w powiecie obornickim podaję, że dla ochrony interesów łowiectwa, jako dobrze pomyślanego czynnika gospodarczego, zawiązało się w Obornikach w roku 1930 Towarzystwo Łowieckie powiatu obornickiego, liczące obecnie 41 członków. Zrazu jako zrzeszenie ideowe z myślą przewodnią szerzenia haseł racjonalnego myślistwa, ma Towarzystwo zamiar w miarę rozporządzalnych funduszów dzierżawić prawo polowania w okolicznych gminnych terenach łowieckich, celem podniesienia w nich zwierzostanu.

Z dotychczasowej działalności Towarzystwa wynika, że propaganda prawidłowego łowiectwa natrafia często na jałowy grunt, nie wywołuje spodziewanego i oczekiwanego zainteresowania i że spotyka się z zupełną biernością u przeważnej części właścicieli i dzierżawców łowisk. Zrozumiećby można to częściowo, jako niedojrzałość myśliwską, a częściowo wytłumaczyć zbytniem zamiłowaniem do bezkrytycznego mordowania wszelakiej zwierzyny, jakie ujawnia się u pewnego (znacznego) odłamu społeczeństwa pseudomyśliwych. Nie mniej nie należy zrażać się tą oziębłością, a przeciwnie nadal pracować nad uświadomieniem wszystkich wyznawców Św. Huberta o wartości zrzeszania prawidłowych myśliwych.

Istniejące od trzech lat na terenie tut. powiatu w Rogoźnie, „Kółko Myśliwskie" z ograniczoną ilością kilku członków, rozwija się pomyślnie, dzierżawiąc obecnie około 2500 ha gminnych terenów łowieckich.

INŻ. MARTYNIEC

Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Oborniki.



SPROSTOWANIE.

Do artykułu p. hr. Rzewuskiego „W starej, lecz palącej sprawie", zamieszczonego w N-rze 2 „Łowca Polskiego" z r. b., wkradła się pomyłka. Mianowicie w końcowym ustępie (wiersz czwarty od dołu na str. 25) przekręcono nazwisko p. Gołębskiego, a dalej we wzmiance o jego korespondencji (ten sam wiersz i strona) winno być: „na temat polowania na słonki...", a nie, jak mylnie wydrukowano „słowiki".

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5- pop. W redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Książki myśliwskie.

Następujące dziela są do nabycia w redakcji **z ustepstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":**

Gluszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapiezniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3.00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana—25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego: zesz. 1 — 1,40 zł.; zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2.00 zł

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł., **2) „Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy" — 3,00 zł., 2) „Polująca Pani" — 3,50 zł., **3)** „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3,60 zł. **„Kruk"** — 4,50 zł. **„Słonka"** — 4 zł

J. W. Kobylański **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy. Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1,40 zł.

OGŁOSZENIA DROBNE

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15